

Rozmowa z **Jerzym Jarockim** przed premierą „Błędzenia” w Teatrze Narodowym

Duchowy portret artysty

✎ Kiedyś powiedział pan: „Czytając »Ślub« Gombrowicza, miałem żal, że sam tego nie napisałem”. Czy te słowa stały się imperatywem powstania utworu „Błędzenie”?

JERZY JAROCKI: To byłoby zbyt łatwe. Myśl, którą pan cytuję, zrodziła się po pierwszej lekturze „Ślubu”. Zrobił na mnie kolosalne wrażenie. Miałem wtedy dwadzieścia parę lat. Nawet nie myślałem, że zrealizuję ten dramat tyle razy, na tylu scenach, w tylu krajach. Nie marzyło mi się, że wejść głębiej w całą twórczość Gombrowicza.

Jerzy Jarzębski powiedział mi po lekturze „Błędzenia”, że zawarł pan w nim samą esencję twórczości Gombrowicza...

Ta opinia cieszy, bo – nie ma co ukrywać – Jerzy Jarzębski jest w tej chwili najpoważniejszym krytykiem i teatrologiem zajmującym się Gombrowiczem. Przejął tę schedę po Janie Błońskim, który przez wiele lat był takim znakiem orientacyjnym dla wszystkich gombrowiczologów. Ja w swoim spojrzeniu na Gombrowicza korzystałem z wielu tropów, którymi szli zarówno Błoński, jak i Jarzębski. W „Błędzeniu” posłużyłem się też wskazówkami Konstantego Jeleńskiego, który jako pierwszy zauważył, że Gombrowicz z pewną regularnością wprowadza swoją rodzinę (matkę, ojca, braci, siostry) w struktury kolejnych dramatów. Sam zaś jako Filip, Józio czy Henryk też się w nie wpisuje.

Potrzeba wystawienia „Ślubu” musiała być u pana bardzo silna, skoro specjalnie dla tej realizacji stworzył pan w 1959 r. teatr ze studentami Politechniki w Gliwicach.

Zorganizowałem – jak byśmy to dziś nazwali – casting. Zgłosiło się przeszło 130 osób. Spośród nich wybrałem obsadę, z którą pracowałem kilka miesięcy. Teatr nazwaliśmy STG Gliwice. Prapremiera światowa „Ślubu” odbyła się w kwietniu 1960 r.



BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI

W Teatrze Narodowym, na Scenie przy Wierzbowej, w sobotę o godz. 19.00 rozpocznie się prapremiera „Błędzenia”, autorskiego przedstawienia Jerzego Jarockiego, złożonego m.in. z fragmentów utworów Witolda Gombrowicza. W obsadzie Małgorzata Kożuchowska, Ewa Wiśniewska, Beata Ścibakówna, Dorota Landowska, Jan Englert, Mariusz Bonaszewski, Grzegorz Molecki, Ignacy Gogolewski, Marcin Przybylski, Jacek Mikołajczak.

Spektakl stał się wydarzeniem, mimo że zagrany był zaledwie cztery razy. Potem zdjęła go cenzura. Wiem, że o pańskiej premierze dowiedział się sam Gombrowicz.

Miałem wrażenie, że Gombrowicz wciąż żył Polską przedwojenną. Kiedy Irena i Tadeusz Byrscy czynili starania, by zrealizować jego „Ślub” w Kielcach, on przekonywał ich w liście, że dobre sceny są we Lwowie, Wilnie, Warszawie czy Krakowie, a nie w jakichś Kielcach. Tam, jego zdaniem, nie było żadnego teatru. Przed premierą w Gliwicach, jak zorientowałem się czytając jego „Dzienniki”, też się zżymał. Dopiero kiedy dowiedział się, że Krystyna Zachwatowicz, która przygotowywała kostiumy i scenografię, jest jego daleką krewną, nabrał do naszego projektu zaufania. Interesował się nim i w liście do Krysi napisał, że – na podstawie zdjęć i recenzji – całkowicie go aprobuje.

Mówi się, że Gombrowicz nie lubił oglądać swoich sztuk na scenie.

Bardzo bał się zawodu. Tak się złożyło, że mieszkając w Vance, wybrał

się do Nicei, by zobaczyć inscenizację „Iwony, księżniczki Burgunda” w wykonaniu pewnego półamatorskiego zespołu. Po pierwszym akcie dostał ataku astmy i wyszedł z teatru.

W zapisie testamentowym zastrzegł, że w Polsce jego utwory mogą być wydane i wystawiane dopiero po publikacji „Dzienników”. A ta, jak wiadomo, nastąpiła pod koniec lat 80. Jak więc udało się panu doprowadzić do realizacji „Ślubu” w Warszawie w 1974 r.?

Rita Gombrowicz, po obejrzeniu w 1972 r. mojej realizacji „Ślubu” w Zurychu, zrobiła dla mnie wyjątek, zobowiązała mnie tylko, bym w Warszawie nie dokonywał żadnych zmian i skreśleń i nie ulegał cenzurze.

Cenzurze rzeczywiście pan nie uległ, ale – jak słyszałem – pewnych skreśleń pan jednak dokonał.

Tylko tych, które wydały mi się absolutnie konieczne, czyli tych samych co w Zurychu. Ktoś życzliwy doniósł o tym pani Ricie i próby zostały wstrzymane.

Do premiery jednak doszło...

Teatr wydelegował mnie do Mediolanu do Rity Gombrowicz. Przez parę dni trwały pertraktacje. Musiałem tłumaczyć każdą ingerencję w tekst, każdy skrót. Po pewnym czasie pani Rita znalazła egzemplarz, na którym były skróty Gombrowicza dla Schillertheater w Berlinie Zachodnim. Okazało się, że są prawie identyczne z tymi, których ja dokonałem dla warszawskiej premiery. Wszystko więc zakończyło się pomyślnie.

Krytycy zgodnie przyznają, że każda pańska realizacja „Ślubu” wносиła coś nowego w odczytanie Gombrowicza. Jak zmieniło się pana spojrzenie na tę twórczość?

Nie potrafię tego opowiedzieć. Te realizacje w mojej pamięci nakładają się na siebie. „Ślub” inscenizowałem wielokrotnie. Uważam, że zajmuje on czołowe miejsce w twórczości Gombrowicza. Ślady tego dramatu można dostrzec w każdym późniejszym jego utworze, a zapowiedzi we wcześniejszych. W „Błędzeniu” przekornie omijam to „centrum” i korzystam z innych tekstów Gombrowicza, także materiałów o nim. Próbuję naszkicować rodzaj eseju. Duchowego portretu artysty. Jestem wdzięczny Teatrowi Narodowemu, że przyjął tę propozycję. Rzecz jest dość trudna przede wszystkim interpretacyjnie. Nie zawsze można grać tu role wprost, tzn. po bożemu. Postacie nie są jednowymiarowe, trzeba odsłaniać w nich ślady Gombrowiczowskiej prywatności. Pracuję jednak ze znakomitymi artystami i prawdziwymi profesjonalistami (w tym najlepszym rozumieniu tego słowa). Oczekuję kilku aktorskich kreacji.

Rozmawiał Jan Bończa-Szabłowski